

Kaukaz – podróż w czasie

Z Wojciechem Jagielskim rozmawia Grzegorz Nurek

GRZEGORZ NUREK: Czy Pana zdaniem przemiany w krajach arabskich wpłyną, w krótszej lub dłuższej perspektywie, na sytuację na Kaukazie?

WOJCIECH JAGIELSKI: Nie wydaje mi się. W Gruzji już to przerabiano, rewolucja się dokonała i była udana. Szybko po rewolucji gruzińskiej i ukraińskiej tego rodzaju procesy próbowano uruchomić w Armenii i Azerbejdżanie. W obu państwach zakończyło się to fiaskiem. Azerowie byli entuzjastycznie nastawieni do rewolucji, istniały tam chociażby młodzieżowe organizacje opozycyjne powiązane z partiami. Dlaczego się nie udało? Słabość sił wewnętrznych, brak zainteresowania Zachodu. Azerska opozycja tłumaczyła: Zachód nie był zainteresowany destabilizacją Azerbejdżanu, który dostarczał mu surowców.

Na Kaukazie Północnym rewolucja przybrała formę wojny partyzanckiej, terrorystycznej. Ten rejon świata jest od wielu lat niszczone, maltretowany wojnami domowymi, konfliktem z Rosją, zamachami terrorystycznymi. Do tego, aby rewolucja na wzór tej z Bliskiego Wschodu mogła się dokonać, potrzebna jest obywatelska odwaga, nie tylko niezadowolenie, że dalej tak żyć już nie możemy, ale i decyzja o wyjściu na ulice. Kaukaz Północny jest sparaliżowany strachem i sterroryzowany przemocą.

W takich okolicznościach rewolucja się nie dokona.

W krajach kaukaskich funkcjonują instytucje, poprzez które można wyrażać społeczne niezadowolenie. Jednak te instytucje są słabe przez słabość przywódców. Opozycja jest często skłócona, jak na przykład w Azerbejdżanie. Pojawili się tam nawet wyraziści kandydaci z programami wyborczymi, z doświadczeniem w rządzeniu, ale i oni nie potrafią zdobyć wystarczającego zaufania społeczeństwa. Może jest i tak, że rządy autokratyczne zbiegły się ze wzrostem dobrobytu i poziomu życia mieszkańców. Na przykład Kazachowie wzbogacili się za rządów prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. Brakuje desperackiego imperatywu dla ulicznych wystąpień. Kolorowe rewolucje na terenie poradzieckim przynajmniej w odbiorze tych ludzi, którzy brali w nich udział, nie zakończyły się sukcesem. W powszechnym mniemaniu są odbierane przez miejscowych jako próba pomniejszania wpływów rosyjskich przez Zachód.

A nie jako demokratyzacja i szansa na lepsze życie?

Ryszard Kapuściński u schyłku życia w rozmowach, które prowadziliśmy, mawiał o trzecim procesie dekolonizacji. Po udanej dekolonizacji politycznej, po nieudanej dekolonizacji gospodarczej

następuje dekolonizacja kulturowa. Ten aspekt jest pomijany na Zachodzie. Trochę z przerażeniem przyglądam się paskom informacyjnym w telewizji. Na określenie sił przeciwnych Muammarowi Kadafiemu automatycznie pojawiają się klisze, nazywane *pro-democratic forces*. Jakby to, że się występuje przeciw Kadafiemu, wystarczyło, aby zostać demokratą. Jeśli tak, libijskimi demokratami o najdłuższym stażu są muzułmańscy radykałowie, którzy zanim przystali do Al-Kaidy, pierwsi wystąpili przeciw pułkownikowi.

Tak niewiele wiemy o powstańcach, o ich politycznych i religijnych przekonaniach. W ostatnich latach rządów trudno było nazwać Kadafiego antyzachodnim. Te wszystkie wydarzenia mogą przynieść kres wpływów Zachodu w tym rejonie.

Europa ma się czego obawiać?

Ma. Ale nie tego, że ekspansja świata muzułmańskiego będzie tożsama ze wzrostem terroryzmu, tylko tego, że Europa może zatracić kulturowy charakter. Znów odwołam się do słów Kapuścińskiego, który jak nikt inny rozumiał tak zwany trzeci świat. Mamy do czynienia z kolejną fazą wędrówki ludów. Oni wędrują do Europy za chlebem. Muzułmanie z Afryki Północnej, z Pakistanu czy Afganistanu nie przyjeżdżają do Europy, by zostać Europejczykami, by się integrować. Przyjeżdżają dla pieniędzy. Pakistańczyk, który przyjeżdża do Birmingham, może zarobić sto razy więcej niż w Pakistanie. Wystarczy pojechać do Berlina, Paryża, Londynu, aby zobaczyć przedmieścia miast i dostrzec, że ludzie nie chcą się

integrować. Procesu tej migracji nie sposób zatrzymać, jeśli mówi się o otwartości Europy i budowaniu społeczeństwa otwartego. Jednak idea stworzenia idealnego Europejczyka ma coś utopijnego w sobie, coś podobnego do niegdyś lansowanej idei „człowieka radzieckiego”. Ile pokoleń musi minąć, aby Afrykanin uznał się za Europejczyka? Czy Europa będzie pełna meczetów? Europa obawia się tego, że stanie się azjatycka.

Podobne pytania rodzą się, jeśli popatrzymy na walkę z terroryzmem. Zachód ją toczy metodami tych, którzy ją wywołali. Czy takim faktycznym triumfem zachodniej cywilizacji, cywilizacji europejskiej było zabicie Osamy bin Ladena? Może by było, gdyby on zginął w walce albo gdyby został postawiony przed sądem i osądzony.

Polska sprawuje przewodnictwo w Unii Europejskiej. Naszym atutem w Europie miało być tłumaczenie Zachodowi tego, co dzieje się na wschodzie kontynentu, i promowanie krajów Partnerstwa Wschodniego. Czy naprawdę to potrafimy, zwłaszcza teraz, gdy uwaga Europy skupiona jest na Południu?

Dla polskiej prezydencji to, co się dzieje w krajach arabskich, jest kłopotliwe. Naszą mocną stroną rzeczywiście jest aktywność i orientacja na Wschodzie. Polska jest postrzegana jako łącznik Europy Wschodniej z Zachodem. Dziś dla Unii większym problemem są wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Przekonać Anglika, Francuza, Włocha, żeby zainteresował

się bardziej Ukrainą, Białorusią, Kaukazem w tym samym czasie, będzie rzeczą trudną, jeśli nie niemożliwą. Zwłaszcza że jeszcze doszedł kryzys gospodarczy w Grecji.

Kraje leżące na Wschodzie ciągle jeszcze traktowane są na Zachodzie jako strefa wpływów Rosji. Wydaje mi się, że przypomnienie o Partnerstwie Wschodnim będzie na Zachodzie budzić irytację. Kogo bowiem będą obchodzić wybory w Mołdawii, jeśli w Syrii będzie wojna? Niedługo odbędą się wybory w Egipcie. Jaką mamy pewność, że zwyciężą w nich *pro-democratic forces*? Co się będzie działo, jeśli zwycięży Bractwo Muzułmańskie, z którego wywodzi się chociażby obecny szef Al-Kaidy Ajman al-Zawahiri? Jak odnieść się do wyborów, w których zwyciężą partie religijne?

To, że udało mi się w dziennikarstwie coś osiągnąć, zawdzięczam niezrozumieniu przez Zachód procesów na Wschodzie. Na początku lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia jeździłem ze skromnym budżetem na Kaukaz. Spotykałem tam dziennikarzy z CNN, Reuters'a, Associated Press. Oni mieli budżety nie-limitowane: walizki pieniędzy, bo wtedy trudno było o karty bankomatowe. Wynajmowali najlepszych miejscowych dziennikarzy, aby ci tłumaczyli im, co się dzieje. Ci „umierali” ze zmęczenia, ale nie byli w stanie wytłumaczyć różnic między Michaiłem Gorbaczowem a Borysem Jelcynem, odnosząc się do znanych klisz. Który był demokratą, a który konserwatystą? Ci z Zachodu domagali się odpowiedzi, który z nich jest prozachodni.

A na przykład w przypadku Gruzji lub Armenii dochodziła wiedza o mniejszościach narodowych. Zachodni dziennikarze się w tym gubili. Dzisiaj niech ktoś w Parlamencie Europejskim upomni się o Gagauzów. Ktoś z Unii wie, że oni żyją w Mołdawii? Wtedy najważniejszym problemem była broń atomowa. Dziś Zachód ma problem nawet z interpretacją niedawnych wydarzeń na Ukrainie. Dlaczego Ukraińcy wylegli na Majdan? Jakie są różnice między obozem Julii Tymoszenko i Wiktora Juszczenki? A różnice między pomarańczowymi a niebieskimi? Myślę, że Zachodowi potrzebne były kolorowe rewolucje, aby móc szybko zidentyfikować: ci nasi – proeuropejscy, ci – prorosyjscy.

Mówił Pan o migracji muzułmanów do Europy, tymczasem prawdziwego terroryzmu, ponownego wybuchu wojny na Kaukazie może obawiać się Rosja, która w 2014 roku w Soczi będzie organizowała Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Tak głośne wydarzenie może być dla ekstremistów okazją do przypomnienia o sobie. I nie pomogłoby chyba nawet zbudowanie muru od Astrachania do Soczi.

Z całą pewnością partyzanci podejmą próby destabilizacji Rosji w chwili, gdy uwaga świata będzie na niej skoncentrowana. Podobna sytuacja miała miejsce w Tybecie tuż przed Igrzyskami Olimpijskimi w Pekinie. Ci, którzy będą organizować zamachy bombowe, będą na Zachodzie postrzegani jako terroryści. Rosja natomiast zrobi wszystko, aby jej wizerunek nie został nadszarpnięty.

Im bliżej igrzysk, tym rosyjskie siły bezpieczeństwa bardziej będą się zajmować tym rejonem. Nie oznacza to, że Rosja nie zostanie ugodzona gdzie indziej, poza Soczi, na przykład kolejnym zamachem w moskiewskim metrze. Nie spodziewam się straszliwych zdarzeń, rewolucji. Aby w krajach kaukaskich mogła się odbyć rewolucja, potrzebne jest finansowe wsparcie. A obóz, który mógłby to finansować, ma coraz większe problemy. Amerykanie rozbijają dowództwo Al-Kaidy i będzie się ona zmieniać z międzynarodowej siatki terrorystycznej w lokalne organizacje. Rok 2014 będzie ciekawy także przez to, że z Afganistanu zostaną wycofane wojska.

Kilka miesięcy temu w Moskwie został zastrzelony przez nieznaną sprawców pułkownik Jurij Budanow, w 2003 roku skazany za zgwałcenie i zabicie młodej Czeczenki. Zabójstwo to pokazuje, że Rosja nie kontroluje sytuacji nawet na własnym terytorium. Ma Pan podejrzenia, kto dokonał tej egzekucji?

Siedem strzałów oddanych w głowę. Nie zdziwiłbym się, gdyby tego dokonali Czeczeni w akcie zemsty. Budanow był jednym z najbardziej nienawidzonych oficerów rosyjskich w Czeczenii. Nawet Putina tam nie nienawidzili w takim stopniu. Tymczasem w Rosji Budanow traktowany był jak bohater. Jednocześnie na niego mogło być wydanych kilka wyroków śmierci. Podejrzewam, że dla kogoś, kto miał z nim porachunki finansowe, taka sytuacja mogła być idealna, aby odsunąć podejrzenia, skierować je

na Czeczenów. Nie wiemy, dokąd prowadzą tropy. Warto pamiętać, że to nie był pierwszy rosyjski wojskowy zastrzelony po latach. Wiktor Polianiczko, rosyjski namiestnik w Osetii Północnej i Inguszetii, też został zastrzelony po długim czasie. Z pochodzenia był Rosjaninem z Białorusi. Podczas pierwszej wojny w Czeczenii zapisał się bardzo źle.

Jaka jest skala poparcia społecznego na Kaukazie dla idei kaukaskiego Kalifatu?

Wyznawcy Kalifatu uważani są za terrorystów, a terrorystów nikt tam nie chce wspierać. Na Kaukazie nigdy nie udało się zrobić czegoś, co by Kaukaz zjednoczyło. Poza wojną... Pytanie, czy sami się sprzymierzili w obliczu wojny, czy Rosja ich do tego na krótko przymusiła? Jednak i wtedy były konflikty między Czeczenami a Szamilem Basajewem. Oni go uważali za człowieka nielojalnego. Kaukaz to także regionalna stolica wszelkiej maści teorii spiskowych. Ahmed Zakajew mówił o Doku Umarowie i idei Kalifatu, że przybyli z Łubianki po to, aby zdyskredytować ruch niepodległościowy. Szamil Basajew wiele stracił w oczach Czeczenów, kiedy najechał Dagestan. Na Kaukazie do dziś krążą legendy, ile to pieniędzy wziął od Borysa Bieriezowskiego na Lazurym Wybrzeżu po to, aby dać pretekst Rosji do najechnia Czeczenii. Ruch kalifacki, który zechce mieć na Kaukazie wpływy polityczne, nie uzyska poparcia. Narodom przed laty podbitym przez Rosję i ześwieczonym trudno byłoby przekonać się do szariat. W Czeczenii w krótkim okresie

rządów Asłana Maschadowa obowiązywał szariat. Jednak nie przeszkadzało to temu, aby nawet najwięksi zwolennicy szariatu kupowali w sklepach alkohol. Nie do pomyślenia było, aby ktoś mógł zabronić oglądania zachodnich filmów. Po roku 1991 z krajów muzułmańskich przyjechali mułlowie nauczać, agitować. Społeczeństwo po dłuższym czasie ich nie zaakceptowało.

Jak Pan ocenia pozycję kobiet na Kaukazie?

W polityce kobiety nie odgrywają większej roli. Mogę wymienić Nino Burdżanadze z Gruzji, a potem długo, długo nikogo więcej. Kaukaz to ukryty matriarchat, kobiety pilnują porządku. Żona Zwiada Gamsachurdii miała wpływ na decyzje polityczne męża. Była szarą eminencją. Jednak są to społeczeństwa typowo męskie. Mężczyźni są zazdrośni o przywódcze role głów rodzin, polityków, wojowników. Podobnie jak gruzińskie kobiety nie są dopuszczane do gruzińskich stołów, tak nie są dopuszczane do polityki. Trudno mi wymienić imiona pierwszych dam wielu z tych państw, chociaż od lat specjalizują się w tym rejonie świata. Może mógłbym coś więcej powiedzieć o żonie pierwszego prezydenta niepodległej Armenii Lewona Ter-Petrosjana, bo ona była naukowcem. Pierwsza dama Azerbejdżanu to Mehriban Alijewa, ale o niej głośno było, jak mąż obejmował władzę. Żoną Micheila Saakaszwilego jest hollenderka Sandra Roelofs. Czy one odgrywają większą rolę polityczną w krajach, gdzie władzę sprawują ich mężowie? Nie. Nino

Burdżanadze jest wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Czy kiedykolwiek będzie można swobodnie i bezpiecznie podróżować po całym Kaukazie?

Konflikt na Kaukazie trwa już, z wielkimi przerwami, ponad 400 lat. Nic nie wskazuje na to, aby był to region, w którym szybko zapanuje całkowity spokój. Rosja zazdrośnie strzeże swojej strefy wpływów na Kaukazie, jednocześnie niewiele dając jego mieszkańcom. Uważa kaukaskich górali za ludzi nielojalnych, niepewnych.

Źle ich traktowała w swoim wojsku...

Raczej oni źle traktowali podległych im Słowian. Bo mieć w swoim oddziale podoficera, z pochodzenia Ingusza, Czeczena, Awara oznacza spokój i porządek. To prawda, oni nie mogli wyżej awansować, ale jako podoficerowie trzymali dryl. Źartuje się nawet z Putina, że musiał służyć pod czeczeńskim kapralem, dostał od niego w kość i stąd jego późniejsza niechęć do Czeczenów. Ormianie, Osetyńscy, Czeczeni, Ingusze byli zawsze postrzegani jako świetni, bitni żołnierze.

Kiedy dowiedział się Pan, że z powodu artykułów, wywiadów i książek nie jest Pan mile widziany w krajach Wspólnoty Niepodległych Państw?

W 2008 roku, gdy po wojnie gruzińsko-rosyjskiej próbowałem wyjechać z Gruzji. Lotnisko w Tbilisi było zamknięte. Kupiłem więc bilet lotniczy z Erywania i ruszyłem do Armenii. Zostałem zatrzymany

na granicy gruzińsko-armeńskiej. Powiedziano: fotoreporter może przejechać, pan nie. Pomyślałem, że to może jakaś pomyłka, nie byłem w Armenii wiele lat. Urzędnicy powiedzieli mi, że nie mogą mi wyjawić powodu niewpuszczenia. Gdy jednak wyszli na papierosa, wygadali się, że jestem na liście ludzi, którzy nie powinni być wpuszczani na terytorium Wspólnoty Niepodległych Państw. Byłem w kropce, bo przecież Gruzja, z której przyjechalśmy, też jeszcze formalnie do WNP należała. Zadzwoiłem do sekretarza prezydenta Micheila Saakaszwilego. Powiedział, że do Gruzji zostaną ponownie wpuszczony. Ponieważ nie naraziłem się żadnemu z krajów Kaukazu, nasunęła mi się interpretacja, że to przez łamanie prawa rosyjskiego. Wielokrotnie jeździłem do Czeczenii bez zezwolenia. Rosyjska ambasada miała pretensję, że przeprowadzam wywiady z ludźmi, których oni określają jako terrorystów. Zostałem wręcz wyklęty po tym, jak zrobiłem wywiad z szejkiem Abdulem Chalimem Sadułajewem, a „Gazeta Wyborcza” po jego publikacji została oskarżona o wspieranie terroryzmu. Najciekawsze, że na stronie internetowej Kalifatu zostałem uznany za rosyjskiego sługusa, bo oceniłem wywiad, usuwając z niego dłuższe odwołania do Boga po każdym zadanyemu pytaniu. Gdybym opublikował pełną wersję, to zapełniłaby dwa numery „Świątecznej”...

W efekcie moje zainteresowania przeniosły się w stronę Afganistanu, a ostatnio w stronę Afryki. Odchodzę od dziennikarstwa, skupiam się na pisaniu książek.

Zapytam więc o Afganistan. Czy Polska dobrze postąpiła, angażując się militarnie w tym kraju?

Nie miała innego wyjścia. Pytanie tylko, czy potrzeba było tak licznych (2600 żołnierzy) kontyngentu i jakie korzyści odnosimy z pobytu tam naszych żołnierzy. Korzyścią jest to, że mogą się oni szkolić w warunkach bojowych, nie jedynie na poligonie. Ceną, jaką się płaci, są ofiary. Dużo się mówi o zabitych, mniej o poranionych psychicznie.

Polska zmanifestowała zaangażowanie, wysyłając wojska do Iraku i do Afganistanu. Pojawiają się głosy, że powinniśmy wcześniej wycofać nasz kontyngent z Afganistanu. Tak uczyniły Holandia i Kanada – czy ktoś zarzuca im wiarygodność? Powiem szczerze: nie wiem, po co Amerykanom w Afganistanie wojska sojuszników, kiedy na nie tak narzekają.

Związek Radziecki w wojnie w Afganistanie stracił ponad piętnaście tysięcy ludzi...

Myślę, że gdyby Zachód prowadził wówczas wojnę z terroryzmem, to straty byłyby równie wielkie. Postęp technologiczny sprawił, że straty wśród wojsk koalicji w Afganistanie przez ostatnie dziesięć lat wynoszą dwa i pół tysiąca żołnierzy. Rosjanie kierowali do walki piechotę i śmigłowce, Amerykanie najchętniej wysyłałi by bezzałogowe samoloty. Czytałem niedawno w prasie amerykańskiej artykuł o tym, jak rekrutuje się ludzi do oddziałów bojowych. Jedną z oczekiwanych umiejętności jest sprawne posługiwanie się dżojstikiem i refleks przy

grach komputerowych. Kiedyś szukało się snajperów z celnym okiem i pewnym palcem, który w odpowiedniej chwili jest w stanie nacisnąć spust, dziś ważniejsza jest precyzja w naprowadzaniu celownika na cel i refleks wyćwiczony podczas wirtualnych walk. Mało się mówi o kosztach finansowych wojny w Afganistanie. Była ona jednym z powodów bankructwa finansowego ZSRR. Nie znam raportów całkowitych kosztów ponoszonych przez Zachód w tej wojnie, ale są to miliardy dolarów.

To także wojna światów. Z jednej strony zdalnie naprowadzane bezzałogowe samoloty, z drugiej – mudżahedin z kałasznikowem za 120 dolarów. Te dysproporcje uświadomiłem sobie szczególnie mocno, obserwując w 2003 lub 2004 roku w Kabulu żołnierzy amerykańskich w skafandrach niczym z *Gwiezdnych wojen*, komunikujących się między sobą, ale bez żadnego kontaktu słownego z Afgańczykami.

Teraz Amerykanie chcą desperacko dogadać się z talibami i wycofać się czym prędzej z Afganistanu. Najpierw ich obalano, a kiedy nie udało się ich wybić, szuka się z nimi porozumienia. Wszystko to trochę niepoważne. Jak z pierwszymi wyborami prezydenckimi w Afganistanie. Afgańczycy nie byli przekonani, czy warto iść głosować, czy warto ryzykować życie, czy podczas wyborów nie będzie fałszerstw. Zachód przekonywał, że oszustw nie będzie, bo ten, kto głosuje, macza palec w atramencie i drugi raz już nie zagłosuje – ciemne ślady będzie widać przez kolejne trzy dni. Afgańczycy

wychodzili na ulice, ślinili palce, atrament schodził. Zachód nawet nie dostarczył im porządnego atramentu. To są podwójne standardy. Jak możemy oczekiwać, aby oni wspierali żołnierzy koalicji, skoro nawet w tak drobnych sprawach wszystko jest robione na odczepnego? Nasi politycy i politycy na Zachodzie coraz częściej przemieniają się w przywódców medialnych, którzy myślą o kolejnych sondażach, o kolejnych wyborach, ale nie tworzą strategii rozwoju krajów na dłużej niż dziesięć lat.

Historia w Afganistanie mogła potoczyć się inaczej?

Talibowie zostaliby obaleni przez samych Afgańczyków, gdyby nie doszło do ataków 11 września. Z paru powodów. Afgańczycy nie mogli znieść tego, że rząd w Kabulu chce ingerować w ich strefę prywatną. Żaden Afgańczyk nie wypuści swojej kobiety z domu ubranej inaczej niż w burkę. Jednak krew go zalewa, jeśli to samo każe mu robić minister. Osamę wyrzucono by z Afganistanu, bo Afgańczycy mieli serdecznie dość szarogęszenia się Arabów. Nie zapominajmy, że krótko, przez pięć lat, Afganistan był przez nich okupowany. Byłem tam wtedy i widziałem, z jaką nienawiścią mieszkańcy odnoszą się do arabskich przybyszów, którzy traktowali Afgańczyków tak jak wcześniej Rosjanie, a dziś Zachód. Górale są zazwyczaj niezależni, i to na całym świecie. Czasem przekłada się to na anarchię, warcholstwo. Nawet podczas krótkich rządów Maschadowa, kiedy Czeczeni sami wybrali prezydenta,

nic tylko kłócili się między sobą, dawali się rozgrywać Rosji.

Na korespondenta w Afganistanie czyhały różne niebezpieczeństwa – nie tylko uzbrojeni ludzie. Pan miał poważny wypadek samochodowy.

Jechaliśmy w konwoju, który uformował się w Fajzabadzie. Wszyscy poruszali się terenowymi toyotami. Mój przyjaciel, fotograf Krzysztof Miller uznał, że do Afganistanu lepszy będzie rosyjski UAZ. I tak było, tylko że mieliśmy kierowcę, który zazwyczaj jeździł toyotami. A różnica w wielkości kierownic tych samochodów ma się jak proporcje zwykłej kierownicy do koła młyńskiego. Jechaliśmy nocą przez góry. Konwój trochę się rozjechał. Nasz kierowca nie zauważył ostrego skrętu w prawo. Pojechał prosto. Spadliśmy dziesięć metrów do rzeki. Gdyby nie to, że przepaść była tak stroma, mogliśmy spłonąć, bo bak był pełny, a po odbijaniu się od skał z samochodu niewiele by zostało. Zawsze z dużym sceptycyzmem podchodziłem do opowieści, że ktoś w skrajnych sytuacjach, w obliczu zagrożenia życia, dokonuje rzeczy, których by nie był w stanie zrobić w normalnych okolicznościach. A ja pod wodą nogami wypchałem szybę samochodu, dzięki czemu mogliśmy wypłynąć i się nie potopiliśmy. To, że jechaliśmy w konwoju, było ważne. Środek nocy, wysoko w górach, temperatury bliskie zera stopni, my przemoczeni, poobijani... Kolejne auta zatrzymywały się i nas zabierały; mogliśmy się przebrać w suche ubrania. Byłem mocno

pokrwawiony, ale to były płytkie okaleczenia szybą. Wyglądało efektownie. Gdy przyjechaliśmy do bazy, japońscy dziennikarze przyjechali nas filmować. Czekali tam wszyscy na wybuch wojny, która nie wybuchała, nie było zatem czego transmitować. Staliśmy się więc atrakcją dla innych dziennikarzy. Byli trochę rozczarowani, że już jesteśmy opatrzeni, przebrani. Niepocieszeni, fotografowali nasze mokre śpiwory i plecaki.

Czy jako reporter zwracał Pan uwagę na zjawiska przyrody?

I tak, i nie. Z jednej strony rzadko jest czas, aby obserwować coś, co nie jest teatrem wojennym. Z drugiej strony, tam gdzie nie można było dotrzeć samolotem, głównie w Afganistanie, musiałem poruszać się autem, pokonując tysiące kilometrów, i wtedy mogłem podziwiać przyrodę. Kabul w Afganistanie, Peszawar w Pakistanie to miejsca, w których mógłbym zamieszkać na kilka lat. Dzisiejszy Afganistan już nie jest taki piękny i dziki, jak piętnaście lat temu. Wtedy to było dla mnie jak podróż w czasie, jak bajka – wyprawa z Kabulu do Mazar-e Sharif na skrzyni ciężarówki z zamontowanym działkiem przeciwlotniczym. Jakbym przejeżdżał przez scenografię filmu o średniowieczu. Taką samą piękną, ale surową, naturalną przestrzenią jest Przełęcz Chajberska w Pakistanie. Gruzję i jej mieszkańców zawsze darzyłem sympatią. Myślę, że mógłbym też zamieszkać w Indiach oraz Afryce Południowej. Ilekroć tam jestem, czuję się fantastycznie.

Odchodzi Pan od dziennikarstwa. Co w tym zawodzie było dla Pana najważniejsze?

To, czego najbardziej będzie mi brakowało, to możliwość naocznego obserwowania wydarzeń, które w danym momencie są w centrum światowej uwagi. To się udziela – człowiek jest przekonany, że jest w najważniejszym miejscu na świecie i robi rzeczy najistotniejsze. Z tym się wiąże możliwość poznania ludzi, którzy wpłynęli na historię, jak Eduarda Szewardnadzego, Borysa Jelcyna, Nelsona Mandeli. Nie spotkałem Osamy bin Ladena, ale tylko dlatego, że go zignorowałem. Gdy jeździłem do Afganistanu kilkanaście lat

temu, naganiacze w Peszawarze zawsze proponowali, aby pogadać z szejkiem. Jednak do szejka zawsze było mi nie po drodze, brakowało czasu.

Po latach wyrzucam sobie jedną rzecz. Żałowałem, że nie byłem w Afryce Południowej, kiedy Nelson Mandela wychodził z więzienia. Ale jako dziennikarza z wychodzącej dopiero z komunizmu Polski zapewne nie wpuszczono by mnie wtedy do RPA. Do dzisiaj, gdy słyszę opowieści kolegów, którzy byli tego świadkami, dostaję gęziej skórki. Byłem też niemądry jako młody człowiek i nie pojechałem do Berlina, gdy obalano mur berliński. Trzeba było tam być. 🕌

Wojciech Jagielski (ur. 1960) jest dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, reporterem, autorem książek o Kaukazie (*Dobre miejsce do umierania*, 1994), Czeczenii (*Wieże z kamienia*, 2004), Afganistanie (*Modlitwa o deszcz*, 2002) i o Afryce (*Nocni wędrowcy*, 2009). Laureat Nagrody im. ks. Józefa Tischnera. Jego książki przetłumaczone zostały na język angielski, niemiecki, hiszpański, włoski i niderlandzki.